

Śmierć nieśmiertelnych

BARBARA FRIDE

Straszny los spotkał współczesne wampiry. Niegdyś przerażające, mroczne i żywiące się krwią śmiertelników, same stały się pożywieniem mas. Z powodu tak ogromnego upływu krwi, nieśmiertelni musieli umrzeć, zaś kultura popularna na wszelki wypadek powbiła w wampirze serca osinowe kołki i skropiła je obficie wodą święconą.



Mit wampira od zawsze fascynował, a narracje wampiryczne uwodziły czytelników. Według wierzeń ludowych, upiorami stawali się pośmiertnie ludzie, którzy za życia byli zbrodniarzami, lub też ci, których bliscy nie dopełnili należycie rytuału przejścia związanego ze śmiercią – np. nie modlili się przy trumnie lub nie wyprawili żałobnej uczty. Wówczas zmarły nie mógł „przejsć na drugą stronę” – stał się wampirem, istotą o podwójnym statusie ontologicznym. Trwając w takim zawieszaniu – ani żywy, ani umarły – wampir był jednocześnie fascynujący i niebezpieczny. Aby móc przedłużyć swą niejednoznaczną, zawieszoną pomiędzy życiem i śmiercią egzystencję, odżywał się krwią śmiertelników. Przez to też był nieodłącznie związany z kategorią niesamowitości (*Unheimliche*) i, co za tym idzie, z nieoswajalną grozą.

Wampiry Goethego, Gogola, Poeo, Stokera, Polidorigo były niebezpieczne i przerażające, a ich obecność naruszała porządek świata, zaprzeczając prawom rozumu. Epatowały erotyzmem, siłą, nieludzkim pięknem. Były dziećmi nocy, fascynującymi z jednej, przerażającymi z drugiej strony. Były złe, pojawiały się o zmroku, dnie spędzając w trumnach. Potrafiły przybierać kształty zwierząt, nie wiadomo było, czy żyją – czy też nie, nie miały duszy, nie potrafiły kochać.

Gdzie wampiry z tamtych lat...? Dziś już nie tylko są w stanie poświęcić wszystko dla miłości do śmiertelniczki (bo we współczesnych narracjach zakochują się w sobie mężczyzna – wampir i kobieta – żywa istota, nigdy odwrotnie), ale również zapanowały nad koniecznością wypijania ludzkiej krwi, sącząc z butelek krew syntetyczną (ARh+ lub ARh-, w zależności od apetytu). Rosną im włosy, poruszają się w świetle dziennym, mają lustrzane odbicia.

Zło zostało oswojone i przez to straciło całą swą magię i urok oraz magnetyczną siłę przyciągania. Współczesny wampir uczłowieczył się, z istoty metafizycznej stał pophorem w stylu Jamesa Bonda, mającym tylko nieco odmienne nawyki żywieniowe. Wchłonęła go kultura masowa, marna literatura i film. Obecnie bardziej przerażający jest fakt, że w wielu księgarniach pojawiają się całe „działki wampiryczne”, niż sam wampir jako twór fantastyczny. Co

chwile ktoś wpada na pomysł napisania książki o zakazanej miłości niewinnej dziewczyny do wampira, lub na pomysł jeszcze gorszej ekranizacji takiej historii.

Wampiryczne narracje nie uwodzą już obecnością istot o niejednoznacznym statusie ontologicznym, jak *Dracula* Stokera, *Carmilla* Sheridan Le Fanu czy *Nosferatu* Herzoga. Wampir

stał się idealnym elementem milionów fabuł w stylu Harlequinów, pojemną formą na upchnięcie w niej wątku „niebezpiecznej miłości”. Nie jest już upiorem w takim sensie, w jakim był w wierzeniach Rumunów, Węgrów czy Słowian. Świadomość popularności mitu wampirycznego pozwala autorom na wyzyskanie go do granic możliwości oraz przyciągnięcie czytelników, którzy lubują się w romansach podszytych nutką perwersji (wszak to miłość do trupa!) oraz zaprawionych krwią.

W dziejach motywu wampirycznego doszło do znamiennej przesunięcia, które dokonało niemożliwego – uśmierciło nieśmiertelnych. Dawniej wampir był materiałem do tworzenia fabuł (literackich, filmowych), współcześnie stał się wędką, na którą złapać można masy, bez nadmiernej troski o szczegóły i subtelności. Nie ma już filmów ani literatury wampirycznej – są za to romanse, w których wampir spełnia rolę przynęty. Ponadto świetnie dostosował się do warunków współczesnej egzystencji (np. w cyklu książek Stephanie Meyer). Z istoty nie-z-tego-świata stał się jednym z wielu mieszkańców amerykańskich miasteczek oraz, jak ma to z kolei miejsce w cyklu książek Charlene Harris – walczy o uzyskanie pełni praw obywatelskich.

Niewielu twórców (literackich, filmowych i teatralnych) zdaje sobie sprawę z uniwersalizmu mitu o powracających umarłych łaknących krwi i przychodzących po nią na ziemię. Być może jednym z ostatnich był Roman Polański, który w *Nieustraszonych pogromcach wampirów* doskonale wychwycił to, co stało się w kilka lat później z wampirami. W swojej komedii (na podstawie której powstał później wspaniały musical) pokazał krwiopijców odartych z ich grozy i tajemniczości – nieporadnych i groteskowych, jednak nie pozwolił na to, by dobro zwyciężyło. Profesor Abronsius i Alfred uciekający z zamku von Krolocka z przemienioną w wampira Sarą, niechęący rozwożąc epidemię wampiryzmu na cały świat.

Film Polańskiego powstał w 1967 roku, a epidemia wampiryzmu nadal trwa. Szkoda tylko, że wirus jest już tak bardzo zmutowany, że nawet nie potrafimy rozpoznać skąd się wzięła nasza choroba.

Zaduszkowe reminiscencje

ANDRZEJ JAR

Szedł żołnierz do kopania studni, *bo im tam wody brakło, a co była w stawie to śmierdziała. Idzie, idzie, aż patrzy naprzeciw niego podchodzi jakaś figura w czarnej płachcie.* Pociągnął żołnierz za płachtę – *patrzy: kościotrup.* „A ty tu czego?” – „Ja – powiada – jestem śmierć i przyjdę po ciebie za tydzień.”

Tak, wszyscy to wiedzą, to z „Poptu” Sienkiewicza. Żołnierz nie przestraszył się śmierci – obił ją kijem, aż kości grzechotały – i dożył stu lat. Co jest jasne i oczywiste. Pytanie tylko, czy wierny wachmistrz Soroka nie podkoloryzował trochę opowieści o śmierci, którą przysyłano na okop, żeby się żołnierzom pokazywała. Czy śmierć się pokazuje? A skąd niby ma to być wiadomo, skoro żadnej pewnej relacji na ten temat nie ma. Owszem, przed czterdziestu laty bestsellerem była książka Raymonda Moody „Życie po życiu”, która mówiła o tym, co „po drugiej stronie”. I kto wie – może te wizje sterylne świetlistych tuneli itp. są prawdziwe, przecież jednak mówią o nich ludzie, którzy doznali śmierci klinicznej – czyli takiej na niby, rzecz by można, a nie rzeczywistej. Nie ma więc pewności jak to jest – czy człowiek widzi śmierć przed zgonem czy nie – a już zupełnie nie wiadomo, co dzieje się potem. Można tylko wierzyć, że coś się dzieje...

W ludowych wierzeniach śmierć definitywnie ukazuje się człowiekowi przed jego zgonem – jest Osobą, wyobrażaną jako kościotrup lub kobieta z kosą. Było i jest to tak samo pewne jak to, że *Jasio być musi przy swej Karusi!* / *On ją kochał za żywota!* Notabene wiara w duchy, które mają zdolność szkodenia lub pomagania żyjącym jest wspólna dla wszystkich religii – religie chińskie czy islam mają zwyczaj bardzo zbliżone do przedchrześcijańskiego obrzędu dziadów, jak i do dzisiejszych obrzędów pogrzebowych w chrześcijaństwie (np. kadzidła czy stypa) i nie tylko. Kadzidło „ma zastosowanie” we wszystkich religiach.

Wróćmy jednak do pytania, czy uosobiona śmierć ukazuje się umierającemu. Może... Może dziś, w czasach Internetu, nie ma już tak oczywistej postaci kościotrupa czy kosiarki, co nie musi znaczyć, że jest przez to mniej przerażająca. Byłem świadkiem zdarzeń, które mogą takie przypuszczenia potwierdzać.

Zdarzeń, o których warto posłuchać, bo – jak powiadał Hans Christian Andersen – to jest dopiero prawdziwa historia.

Miałem sąsiada – mieszkającego na tym samym piętrze, kilka drzwi dalej – człowieka bardzo sympatycznego, o jasnym umyśle, nie pijącego i nie używającego środków odurzających, który każdego dnia, rano i wieczorem, urządził dla zdrowia marsze wokół naszego kompleksu budynków. Z miesiąca na miesiąc tempo tych spacerów stawało się jednak wolniejsze, stopy z coraz większym trudem odrywały się od ziemi...

Któregoś dnia, wczesnym popołudniem, usłyszał był widać moje kroki na korytarzu, bo otworzył drzwi i podążając za mną aż pod próg mojego mieszkania, z przejściem wyrzucał z siebie słowa. Oczy błyszczały mu

wielkim podnieceniem, twarz miał błądą, ale w pełni świadomą, trzeźwą, rozumną. Gestykulował tylko nerwowo i rwały mu się zdania. Zrozumiałem z nich, że zdrzemnął się na pół godziny, jak miał to w zwyczaju, a kiedy się obudził, zobaczył mężczyznę leżącego na podłodze przy jego łóżku i wbijającego w niego wzrok. Pierwszą myślą było to, w jaki sposób nieznajomy dostał się do środka, skoro drzwi były zamknięte na klucz. Leżący na podłodze mężczyzna patrzył jeszcze chwilę bez słowa nieruchomymi oczami, po czym podniósł się wolno i w milczeniu wyszedł. Sąsiad wybiegł za nim za drzwi, ale na korytarzu nikogo nie było. Dopiero po kilku sekundach usłyszał moje kroki; zapewniłem go, że nikogo w budynku nie miałem. - *Weird* – skonstatował i dodał z machnięciem ręki: - *I'll be ok.*...

Nie wiem, kiedy dokładnie zmarł. W budynku zamieszkałym głównie przez osoby samotne, starsze, rzadko puka się do czyichś drzwi, a zwłoki wynosi się bardzo dyskretnie. Pewne jest, że stało się to krótko po „odwiedzinach” nieznajomego mężczyzny; jeszcze tego samego dnia poinformowałem administratora budynku o swoim zaniepokojeniu.



Inne zdarzenie. Od mniej więcej dziesięciu lat mam zwyczaj chodzić w Nowy Rok do vancouverkiej katedry na pierwszą poranną mszę. To jest niesamowity nastrój: kościół jest pełny, dużo młodzieży, młodych małżeństw – wszyscy mają jakiś interes do Pana Boga, jakieś zapotrzebowanie na rozpoczynający się rok. Poza tym puste o tej porze, po sylwestrowych uciechach, ulice, a potem – po mszy – wychodzi się ze świątyni na pierwszy w nowym roku wschód słońca, którego blask odbija się w szklanych domach śródmieścia, można udać się do Stanley Parku, gdzie pojawiają się już spacerowicze i amatorzy joggingu.

Na przystanku autobusowym pod domem stał w ciemności zimowego końca nocy, w półmroku żółtego światła ulicznej lampy, mieszkający w południowym skrzydle budynku, dbający o porządek w obejściu człowieka – taki gospodarz domu, strzygący latem trawę, podlewający kwiaty, a w czasie mrozu posypujący solą chodniki. Zdziwiłem się, co robi tu o tak wczesnej porze, ale zaraz pomyślałem, że pewnie czeka po prostu na autobus, niewykłuczone, że w tym samym celu co ja. Kiedy jednak autobus nadjechał, nie wszedł do niego, tylko wahadłowym ruchem obu ramion dał mi znak, że to ja mam jechać, a on... będzie się przechadzał...?

Po kilku godzinach zrozumiałem... Chciał umrzeć możliwie przyzwoicie, w otoczeniu ludzi, a nie w samotności czterech ścian; chciał mieć namiastkę przyzwoitej śmierci... Nie ma większego znaczenia, czy widział ją – czy czuł jej obecność przy sobie.

Jestem przekonany, że ludowe wierzenia dotyczące ukazującej się umierającemu śmierci nie są pozbawione prawdy.

Czy mam rację, każdemu z nas dane będzie się przekonać.

Chociaż z drugiej strony...

Śmierć to taka dziwna rzecz – pewna i zarazem nierealna. I to nie tylko ta własna (ta jest najmniej realna). Dość często łapię się na tym, że jakimś mi wierzył, iż nie ma już ludzi *de facto* mi obcych – artystów głównie, znanych mi ze swojej twórczości, w jakiś sposób ważnych dla mnie. Przez moment zastanawiam się, czy rzeczywiście nie żyją... Jak to może być, że nie ma Marka Grechuty, Niemena, Davida Bowie, Andrzeja Wajdy, Leonarda Cohena... Teraz, w tych dniach odszedł Tom Petty i Gord Downie, którego śmierć wywołała publiczne łyżki premiera Trudeau... Cohen na kilka tygodni przed śmiercią powiedział, że jest z nią pogodzony, David Bowie przygotował ostatni album z piosenką *Lazarus*, która, jak sądzi wielu, była jego pożegnaniem się z życiem – Gord Downie wykrzyknął rozpaczliwie swój sprzeciw wobec nadchodzącego nieuchronnego na sierpniowym koncercie w Toronto...

Przez sekundę mam jakby pewność, że to wszystko nieprawda – a nawet głupią przelotną myśl, że muszę to sprawdzić w Internecie. Przez pół sekundy błyska refleksja... coś jakby ze Stachury:

jak winny-li-niewinny sumienia

wyrzut

że się żyje gdy umarło tyłu tyłu tyłu

Doprawdy trudno mi to opisać.

W pracy zbiorowej pod redakcją Bogdana Kupisa *Zwyczaj obrzędów i symbole religijne* (Warszawa 1974) czytam co następuje:

„Wielki myśliciel średniowieczny islamu al-Ghazzali tak pisał w jednym ze swoich dzieł na temat śmierci: «Należy dostrzec w śmierci jej rzeczywistą wielkość i zadumać się nad naszą marnością. Śmierć jest początkiem nowego życia, które powinno być przygotowane tu na tym podole». Ta wypowiedź wielkiego filozofa [...] czerpała swoją mądrość i doświadczenie z wielowiekowej mądrości i doświadczenia wielu pokoleń. Ta myśl przetrwała do dnia dzisiejszego. Dlatego też mułmanie przyjmują śmierć najczęściej ze spokojem.”

Powyższy cytat ma charakter dygresji, która być może skłoni nas do zastanowienia, iż być może te wyobrażenia osobowej śmierci – kostuchy, która, jak mówi wachmistrz Soroka, na wojnę przywdziewa czarną szatę – biorą się po prostu z naszego panicznego lęku przed nią.

Chociaż znów – nikt mnie nie przekona, że mój sąsiad z tego samego piętra, kilka drzwi dalej, mógł mówić nieprawdę...